Nr. 23 Rok 4 Kraków, dnia 6 czerwca 1943. 40 gr.

Il wany

R POLSKI



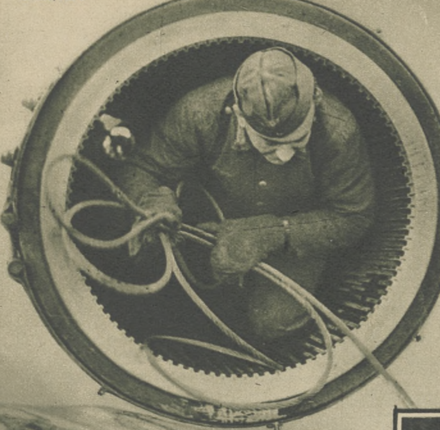
RYBAK FIŃSKI

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. Walczak

Fot. PK. Wette-Atl.,
Garms-Sch.
OT-Sch., PBZ 3

GIGANTY



Na lewo:
DZIAŁO BUDZĄCE GROZĘ
Lufa działa-olbrzyma widziana z przodu. Jeden z kanonierów wydrapał się przez lufę aż do wylotu, by go oczyścić.



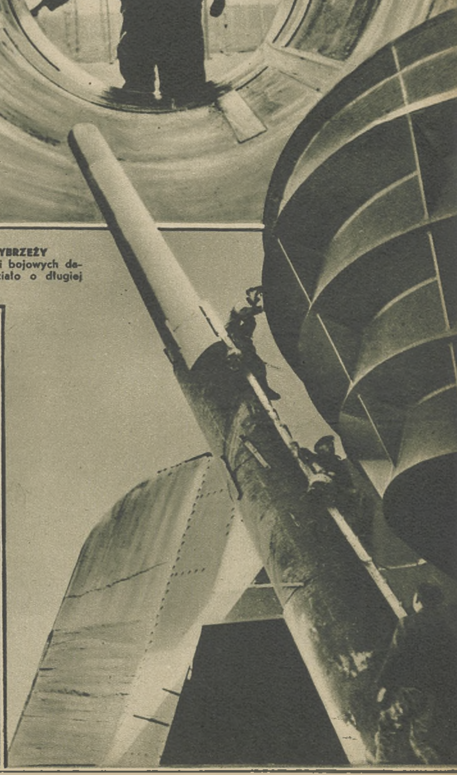
Na lewo:
D Z I A Ł O O L B R Z Y M
Działo najcięższego kalibru wmontowane w jedno z niemieckich umocnień na wybrzeżach Atlantyku.

U dołu:
WE WNĘTRZU GIGANTU
Działa najcięższego kalibru są tak wielkie, że w ich komorze nabojowej może zupełnie wygodnie stanąć człowiek.





Na prawo:
CIĘŻKA ARTYLERIA WYBRZEŻY
W jedną z niemieckich baterii bojowych dalekonośnych wmontowano działo o długiej lufie.



Powyżej:
SKŁAD AMUNICH
Bomby wodne i ciężkie granaty przeznaczone dla baterii niemieckich znajdujących się na wybrzeżu Atlantyku.

Poniżej:
RUCHOMA CIĘŻKA ARTYLERIA
Działo należące do niemieckiej ciężkiej artylerii, które może się poruszać na szynach i dzięki temu łatwo je przesuwać z miejsca na miejsce.



BUŁGARIA





W Bułgarii prowadzi się różne rodzaje gospodarstwa rolnego; inne na płaskich obszarach Dobrudży, inne trochę w górach południowo-zachodnich, zależnie od warunków przyrodniczych danej okolicy. Powyżej: wieśniak przy pługu. U dołu: Zasieki w których len moczy się aż zmięknie do dalszej przeróbki.

Fot. Seiler





U góry:
Rybak z nad Czarnego Morza.

Znaczenie Bułgarii polega głównie na gospodarstwie rolnym. Ale dzięki temu, że Bułgaria leży nad morzem, rozwinęło się również rybołóstwo i żeglarstwo. Rząd bułgarski idzie z postępem czasu, a dowodem na to jest niedawno wydany rozkaz wysiedlenia żydów z Sofii. Rozkaz ten należy uważać za pierwszy krok w kierunku ocalenia kraju przed niebezpieczeństwem, z którego powagi rząd dobrze zdaje sobie sprawę. Dalszym dowodem postępowości rządu bułgarskiego jest popieranie rozkwitającego młodego przemysłu tego kraju.

Na lewo: Bułgarska służba pracy buduje drogę w górach. — U dołu: Również i wydobywanie soli odbywa się na dużą skalę w Bułgarii. Sól ta tworzy całe pagórki solne, które nadają krajobrazowi charakterystyczny wygląd.



NA FIŃSKICH JEZIORACH



FINLANDIA
Ta plastyczna mapa daje nam w poszczególnych pięknych ilustracjach obraz kraju, wyobrażenie o jego zaludnieniu, osiedlach i przyrodzie.

U dołu:
SZTUKA FIŃSKA
Malarstwo fińskie czerpie swoje motywy częściowo ze starych podań kraju, częściowo z życia ludu. Jest ono poważne i pełne głębokich myśli podobnie jak ludzie tego kraju. Dobre pojęcie o malarstwie fińskim daje nam obraz Alberta Edelfeldta pt.: „Ostatnia droga".

Fot. Walczak 3, Archiw 4, Harz 2 — Zeichnung Stratif.





Na prawo:
W FIŃSKICH GÓRACH
Południe Finlandii jest równiną zasianą licznymi jeziorami i one to zjednały tej ziemi nazwę „krainy tysiąca jezior". Na północy Finlandii wznoszą się wysokie góry, pokryte wieloma lodowcami.



ORGANIZACJA „LOTTA"
Dziewczyna należąca do znanej fińskiej organizacji kobiet, która szczególnie obecnie, w czasie wojny, oddaje duże usługi ojczyźnie, troszczy się o dostarczanie żywności przejeżdżającym żołnierzom na jednym z dworców.



KRAJ TYSIĄCA JEZIOR
Liczne jeziora nadają południowej Finlandii charakterystyczne oblicze. Bardzo wąskie niekiedy pasy lądu między jeziorami i wyspy są pokryte gęstymi lasami wśród których kryją się osady i wioski otoczone uprawnymi polami i łąkami.

Finlandię można nazwać krajem lasów, skał, bagien i jezior. Ale przede wszystkim jezior. Całe bowiem wnętrze tego kraju to labirynt nieprzeliczonych, postrzępionych tafli jeziernych i wysp często skalistych, porosłych odwiecznymi borami. Moreny, ozy, zandry a także właśnie jeziora stanowią produkty działalności lodowca. Brak gór, tylko na północy ciągnie się skrawek wysokich szczytów górskich. Klimat jest kontynentalny. Nieliczne osady przysiadły na niegościnnych brzegach jezior, jakby zawieszone między tonią a ścianą odwiecznej puszczy.

Wczesny ranek, ranek nie różniący się wiele od jasnej nocy letniej. Razem z rosą budzą się kwiaty — dzieci, ażeby przywitać słońce, tak hojne i niemal nieustające w tej porze roku, aby wykorzystać każdy jego promień, nacieszyć się nim i utrwalić go w sobie na smutne noce zimowe, które w okresie Bożego Narodzenia trwają niemal całą dobę. Gdy w maju śniegi tają słońce znów świeci cały dzień i tylko na bardzo krótki czas w nocy światłość jego blednie. Wówczas dzieci wcześnie kładą się spać, podczas gdy rodzice i starsze rodzeństwo wyjeżdżają na połów ryb, a gdy po powrocie wczesnym rankiem kutry przymocowuje się do brzegu z radosnym okrzykiem wybiega naga dzieciarnia i tak jak ich Pan Bóg stworzył pomagają przy rozwieszaniu sieci i przy ich naprawie, pomagają matce wydoić krowę, wyganiają bydło do pobliskiego lasu i cieszą się życiem. Ich światem jest uboga osada rybacka. Ich szczęściem jest słońce, woda i las jest ich ojczyzną, z której głębi pochodzą wszystkie te bajki powtarzane niezliczoną ilość razy przez matkę podczas długich wieczorów zimowych.

Trzy czwarte części kraju pokryte są lasem, który zatrudnia każdego mieszkańca, toteż każdy Finlandczyk ma niesłychaną wprawę do wszelakiego rodzaju robót drzewnych począwszy od karczowania, a skończywszy na najbardziej artystycznych rzeźbach i budowie kutrów.

Na południu przeważa las szpilkowy, na północy drzewa karleją a coraz rozleglejsze stają się bagna i tundry. Mało jest ziemi zdatnej pod uprawę. To twarde bytowanie, schodzące na ciągłej walce z przyrodą, wyrzeźbiło na obliczach Finów niezatarte piętno siły i niezłomności.

Nie zawsze życie Finów biegło tu tak spokojnie. Kiedyś wrzały tu częste walki z napierającymi Moskalami. Śladami tych bohaterskich zmagań są obronne zameczki, których wieżyce przeglądają się w lustrzanych taflach jezior.



NAD BRZEGIEM JEZIORA
Podczas gdy łodzie rybackie wyjeżdżają na połów, kobiety sprawiają tymczasem ryby.

Na prawo:
BUDOWANIE TRATWY
Drzewo, które dla celów przemysłu, transportuje się na południe kraju, wiążą najpierw żelaznymi obręczami w wiązki, a następnie z wiązek tych budują tratwy i w ten sposób ułatwiają transport drzewa.





ŁOWCA NIEDŹWIEDZI
Wypoczywa po polowaniu. Zdobyczne piękne skóry niedźwiedzie suszą się rozpięte na ścianie.



FIŃSKA DZIEWCZYNA
Zerwała wspaniały bukiet kwiatów wracając z pracy do domu. W jej stroju charakterystyczne są buty ze skóry renifera.

U dołu:
SPŁAW DRZEWA
Z wielu poszczególnych wiązek złożono olbrzymią tratwę, którą mały parowiec holuje do portu.



ZAPOMNIAŁ O NICH ŚWIAT...





Na prawo:
MADAME RÉCAMIER
Była zarówno utalentowaną jak piękną i czarującą kobietą. Na ilustracji na prawo widzimy jej postać przybraną w grecką szatę. Moda noszenia starożytnego stroju greckiego była wówczas powszechnie lubianą, gdyż podnosiła w szczególny sposób piękność kobiecą.

Fot. Dillan

MADAME TALLIEN
należała do najbardziej czarujących kobiet swej epoki. Mały jej portrecik zamieszczony obok daje nam pewne pojęcie o jej wdzięku i inteligencji.



Na temat kobiet wypowiedziano już tyle aforyzmów, wyśpiewano ku ich chwale tyle hymnów, wylano pod ich adresem tyle żółci — że zastanowić się warto na chwilę bodaj, czy świat, ten niewdzięczny świat, w zrozumieniu sądów i opinii, t. zw. publicznej — nie jest i nie był bardzo nie dobrym w stosunku do owych wszystkich szeroko rozsławionych „królowych", pewnych lat czy epok, zrazu wyniesionych na szczyty ogólnego — ba! niekiedy wprost bałwochwalczego — uwielbienia, później pogrążonych w cień niepamięci i zapomnienia.

Czy były ucieleśnieniem dobroci, czy zagadkowymi „Sfinksami", czy kryły w sobie posmak „demoniczności", — czy wiązały u swych stóp rzesze gorących wielbicieli swoją pięknością, — wszystkie one błyszczały czas pewien, honorowane, podziwiane, upragnione, by zejść z areny zainteresowań świata dnia któregoś i pogrążyć się w mrokach przeszłości, prawie nieżałowane, jak coś, o czym chyba tylko niekiedy się wspomni...

Jedną z tych wielu „zapomnianych" kobiet była, jakże słynna swego czasu, **Madame Récamier.**

Piękność jej miała w sobie coś fascynującego, stała się też natchnieniem mistrzów tej miary, co Gérard, David i Massot.

Jedyną ozdobą, jaką nosiła, był wspaniały sznur pereł. Ciekawie odnosił się do niej w ciągu całego jej życia Napoleon. Powodowany jakąś dziwną odmianą zazdrości nie chciał pomóc jej mężowi, bankierowi Récamier, gdy ten popadł w trudności finansowe.

— Nie jestem kochankiem pani Récamier — stwierdził wtedy złośliwie — a z zasady nie pomagam ludziom, mającym do lekkiego wydania rocznie 600 000 franków!!

Po krachu męża, zaopiekowała się nią jej wierna przyjaciółka, pani Stael. Gdy zrujnowany bankier zaproponował jej separację — szlachetnie odrzuciła ją, pozostając u boku Récamier'a.

Jakkolwiek odtąd żyła w bardzo ograniczonych stosunkach materialnych, przecież salon jej był punktem zbornym wszystkich ówczesnych znakomitości. Umarła, licząc lat 71, padając ofiarą cholery.

Markiza de Sevigné — to kobieta sławna z czasów Ludwika XIV. Bez jej znakomitych „listów", trudno byłoby tak wyraźnie zapoznać się z ułamkiem XVII wieku, w którym żyła, z wspaniałością królewską, z osobowością Ludwika XIV. Markiza była finansowo świetnie sytuowaną, niezależną, otoczoną ludźmi jej pozycji towarzyskiej, wspierającymi ją we wszelkich jej pociągnięciach i porywach ducha.

W prowincjonalnych zamkach i dobrach jej wysoko postawionej rodziny i krewnych oczekiwano zawsze z niecierpliwością jej zajmujących listów, istnych kronik czasu i wydarzeń we Francji, u dworu i w świecie.

Do ogólnego szacunku, podziwu, radości, tylko jedna

Dokończenie na str. 9-tej

Poniżej:
HENRIETA DE FRANCE
Przez fałszywą ambicję stała się ona, jako królowa Anglii, nieszczęściem dla swego męża i swego narodu.

Poniżej:
MARKIZA DE SEVIGNÉ
jedna z najwybitniejszych postaci na dworze „le roi soleil". Była ona piękna jak bogini grecka. Mimo to jednak los nie oszczędził jej ciosów.



Powyżej:
MAŁGORZATA DE VALOIS
Nieszczęście i choroba strąciły, po krótkim okresie świetności, ją, niegdyś najelegantszą damę swej epoki, na dno nędzy.





„Droga Moja!

Wiem, że na ten mój pierwszy list czekasz z niecierpliwością. Doniesie ci on przecież wiele rzeczy, tak dla ciebie ważnych. Z twojej to przecież namowy, Anno, dałam się skusić na wyjazd do Heleny. Parłaś całą mocą swego wpływu do tego, bym wyrwała się z zabójczego kręgu mojej niedawnej, a tak bolesnej przeszłości i „zgubiła w nowych stare przeżycia" — jak to nazwałaś. Zatem jest rzeczą zrozumiałą, że chciałabyś koniecznie wiedzieć, jakie są wyniki twojej dobroci serca...

Anno miła! Przede wszystkim zapewne zainteresuje cię mój stosunek do utęsknionych lasów, do przyrody, tak ślepo zawsze przeze mnie kochanej, a tak długo nie widzianej.

Otóż... hasam jak źrebię, nasycam oczy, duszę, płuca i nerwy, ach! nerwy... Okazuje się, że ja naprawdę nie lubię miasta. Nie znoszę! Nie ma ono dla mnie żadnego uroku, a na zdrowie moje wpływa tak fatalnie, tak zabójczo! Zaledwie miasto zniknęło mi z oczu poczułam, że odradzam się z własnych popiołów... Jak Feniks...

Podróż była cudowna. Robert — ten pan, o którym wspominał Staszek, że pojedzie z nami — istotnie razem z nami wracał do domu. Uprzedziłaś mnie, że to przystojny mężczyzna, a jednak nie przypuszczałam, że aż tak przystojny. Przeżyłam więc moment zaskoczenia, który pan ten niewątpliwie pochwycił... Ach, ci mężczyźni... Zorientował się w lot, że poczułam do niego sympatię, ale on wydaje się być do tego przyzwyczajony. Tutaj wszyscy tak podchodzą do jego osoby. Doprawdy, że gdyby mi przyszło powiedzieć, czy bardziej jest przystojny czy też bardziej sympatyczny — byłabym w niemałym kłopocie.

Śmialiśmy się wciąż i z byle czego, zwyczajnie jak młodzi, którym nie wiele potrzeba do radości. Zresztą niezastąpiona pani Jasia była rezerwuarem dowcipów i beztroski. Złoty humor i złote serce! Śmiała się, bezustannie naciskając na mnie, bym postarała się tam, u Leny, nie tylko zastąpić ją w „opinii", ale nawet przewyższyć. Solennie jej to przyrzekłam, uśmiechając się przyjaźnie do Roberta, który — rozweselony tą nową dla mnie rolą — śmiał się w głos, a prześlicznie, jak to zapewne wiesz, i prezentował mi swoje cudownie piękne zęby.

Och, An, czy uwierzysz, że na moment poczułam w sercu cierń... Bo oto inne zęby, wiesz czyje... i wiesz jakie... (ach!) przyszły mi na pamięć. Przez chwilę odczuwałam ów dziwny niepokój, jaki budzi się w człowieku na wspomnienie rzeczy, przeznaczonej stanowczo do zapomnienia. Będziesz się śmiała — a jednak... czy uwierzysz? Robert przypomniał mi jego... Ernesta! Są zupełnie inni, och tak! Ja wiem! Nie usiłuję wmawiać w ciebie podobieństwa między nimi: byłoby to śmieszne. A jednak... jednak... Gdy stanęłam koło niego przy oknie, gubiłam się przy nim jak dziecko — tak, jak przy tamtym... I też miałam uczucie przytłaczającej, a rozkosznej przewagi fizycznej mężczyzny nade mną. Trudno, moja An, nie zmienię się do końca życia! taki już mam nieuleczalny, ślepy, pogański kult ciała, zdrowia, piękności, siły...

Pod tym względem matka-natura jedno obu im dała z siebie. A ponieważ zirytowałaś mnie nic mnie nie obchodzącymi a bezustannymi ostrzeżeniami na temat wybujałej zazdrości jego narzeczonej, więc z tym większą ciekawością przyglądałam się mu. Chciałam zrozumieć tamtą panią — Klara jej na imię — i zrozumiałam ją...

Nie znam go przecież zupełnie, ale już odnoszę wrażenie, że będzie typem raczej na plus, no, a przystojny jest bez zastrzeżeń, więc lęka się niewiasta. Ty wiesz, jak bardzo dobrze to rozumiem...

W przedziale naszym, a raczej „przedziałce" gwarno było, jak we wróblim gnieździe. Mój zacny szwagier po zeszłowieczornych libacjach niezbyt pojmował, co się mówiło do niego i na pół spał. My troje za to, zwłaszcza pani J., bawiliśmy cały wagon. Śmialiśmy się wszyscy. — Czułam się dobrze, tak dobrze, An, jak nie czułam się już dawno. Jakże wielkim dobrodziejstwem dla człowieka jest zapomnienie!



Fot. Dr. Kröhn-Dillan

Pociąg, chociaż pospieszny, tłukł się po stacjach, jak potępiona dusza, aż wreszcie dobrnęliśmy do naszego przeznaczenia. Lena z dzieckiem była na dworcu, oboje sini i skostnieli. Zimno! Nie uwierzyłabyś! Sierpień, a tu jakby ktoś chlusnął w powietrze wiadrem zimnej wody, prosto ze studni. Helenka na mój widok prawdziwie osłupiała, za to chłopak nadspodziewanie szybko rzucił mi się na szyję.

Moim piekielnie ciężkim bagazem (wybrałam się przecież na kilka miesięcy) opiekował się na stacjach przesiadania Robert. Co za imponująca siła! Na dworcu czekała, na szczęście, dziewczyna.

Nasza familijna „trójca" szła razem, więc ja — nieco na przodzie — z Robertem. Pokazywał mi wieś, rzeczułkę, lasy i cudnie zielone pola, w których gubiły się moje głodne oczy...

...i oto jestem na wsi! Już na wstępie zaznaczyłam ci, że zachowuję się jak źróbek. Cieszy mnie każda trawka, każde drzewo, każdy krzaczek — a las mnie upaja! Ty wiesz, czym jest las dla mojej natury — życiem! Szum drzew za oknami usypia mnie nocą. Zaś w dzień wałęsam się po wyraźnych ścieżkach, by nie zbłądzić w przestrzeni, pokrytej drzewami. Las!

Na trzeci dzień po przyjeździe moim tutaj przyszedł do Staszków Robert ze swą „przyszłą". Oczy ma ładne i cerę jasną, młodzieńczą. Była niegustownie ubrana. I — uderzyła mnie jakoś nieprzyjemnie: wywołała natychmiastowe uczucie przymusu i zmęczenia. Jakaś kłopotliwa, czy ja wiem... Poza tym — nigdy nie wynajdzie prochu! Uważa się za piękność. Kilka osób też uważa ją za piękność i za — zero! Pod tym względem ogół nawet dość się zgadza... Odniosła się do mnie tak, że ostrzeżenie twoje jak żywe stanęło mi w pamięci! Zadawszy sobie gwałt, z źle tajonym w głębi duszy niepokojem, „pożyczyła" mi Roberta na grzyby... Jej bratanek, jedenastoletni wprost rozkoszny chłopak, poszedł z nami. Taka mała przyzwoitka... Od pierwszego wejrzenia poczułam do tego dziecka śmiertelną słabość. Chłopak nie tylko ładny, ale i ujmujący, miniaturka mężczyzny. Inteligentny, bystry, żywy a roztropny, wzorowo wychowany, rozwinięty fizycznie i bardzo przyjemny. I zaraz, tak samo, jak niegdyś Ernest (pamiętasz...?), rozbudził we mnie niepohamowaną, bolesną aż tęsknotę za własnym synem. Ten chłopiec nadał mym marzeniom konkretny kształt i barwę: chciałam, by mój syn był t a k i! Od biedy mogłabym przecież już mieć takiego chłopca... no, niechby trochę młodszy! Polubiłam nad wszystko to dziecko. Zachodzi codzień do naszego chłopaka i tak samo ma na imię: Zbyszek. Z rozkoszą rozmawiam z nim i obserwuję go, zachwycam się kulturą zewnętrzną i wewnętrzną tego niezwykłego dziecka. Panna Klara nie miała pojęcia, jaką mi sprawi przyjemność nadając swej bojaźni o narzeczonego taką formę asekuracji. Chłopiec szalenie lubi Roberta. Dało mi to wiele do myślenia o Robercie, tym bardziej, że on ponoć całą swą pensję i „naturę" oddaje matce Klary, pomagając w ten sposób obu tym paniom do utrzymania się. Mieszkają tak, jak przedtem, gdy ty tu byłaś, w tej samej willi, co upraszcza sytuację. Nie dawno opuściła ich dom siostrzenica Klary. Też była przeszło miesiąc. Robert nie sprzeciwiał się. Widocznie bardzo dobry chłopak.

Poszliśmy tedy na grzyby. Ja — oczywiście — jestem zawsze półprzytomna z rozkoszy, gdy znajdę się w lesie. Ujrzawszy cudownego, wysmukłego kozaczka, z trudem wstrzymałam wrzask tryumfu. Cieszę się po dawnemu ze wszystkiego, ale jednak Ernest nauczył mnie wiele rzeczy. (A może nie tylko Ernest, może przedtem Wacław...). Więc przede wszystkim panowania nad sobą. A może... raczej zabili we mnie dawną umiejętność spontanicznego odczuwania radości... może być i to! Nie wiem! W każdym razie nie zadręczam już swego otoczenia: w milczeniu upajałam się lasem, strumieniem, cudownym błękitem nieba. U nóg mych czerniły się borówki, prowokacyjnie życząc mi „smacznego". Czerwone jeszcze ostrężyny chyliły do mych dłoni szerokolistne bujne gałęzie. Wysokie jałowce wtulały się w moje kolana, tamując przejście. Zaplątałam się w tę gęstwinę — bez miary szczęśliwa i odurzona, zginęłam!

Silny męski głos z oddali poszukał mnie:

— Hop! hooop!

— Hop! hooop! — odkrzyknęłam.

I nagle, och An, — aż do bólu, do męki zapragnęłam, by Ernest teraz był przy mnie, byśmy razem mogli zaplątać się w te modrzewie i brzózki, arogancko zastępujące drogę... byśmy razem spojrzeli w niebo, bezmala tak szafirowe, jak jego oczy! razem ukołysali dusze poszumem drzew nad głowami. On też — pamiętasz? mówiłam ci! — był wielbicielem przyrody.

Robert jest niesłychanie kulturalnym towarzyszem. Zbierał grzyby, nie interesując się moją osobą, baczył tylko by mnie nie zgubić. — Pani Joanno!?! — pytał czasem gromko z oddalenia. Częściej ja wzywałam mego opiekuna. Było mi z nim dobrze. Nie zawadzał. Nie pytał o nic. Nie narzucał rozmowy. Pozwalał mi robić — i myśleć — wszystko, co mi się podobało. Interesował się mną tak mało, że inna kobieta na moim miejscu czułaby się chyba obrażona...

Gdy wracaliśmy do domu, koszyki nasze były względnie pełne, ale najkorzystniej oczywiście przedstawiał się koszyk Roberta. Szczęściarz! Zresztą zna teren i wszystkie tajemnice „grzybołowstwa" ma w małym palcu...

W kilka dni później pogoda odmieniła się. Od pól powiało przedwczesnym jesiennym chłodem i deszcz mżył. Wobec tak sprzyjających (!) warunków atmosferycznych Robert zorganizował dla mnie bridge'a. Przedstawiono mi dwóch młodzieńców, ściągniętych do partii. I wtedy to właśnie po raz pierwszy rozegrała się niejako publiczna scena między Robertem i Klarą... o mnie! Ona nie znosiła gdy Robert grał, gdyż nie należąc do brydżystów, znieść nie mogła tego właśnie, by poświęcał czas komu innemu, a nie jej. Ponoć bezustannie były między nimi na ten temat scysje, a nieporozumienia przybierały często ostrą formę. Niemniej Robert nie miał zupełnie zamiaru ustępować i robił swoje. Mimowoli nasuwały się wnioski, że z wolą i upodobaniami narzeczonej nie liczył się. Tak było i w tym wypadku.

Dość długo już graliśmy, gdy nadeszła Klara. Poprzedniego dnia jeszcze umówiła się z naszą Leną, ale z Robertem manifestacyjnie nie przyszła. W sam raz ja byłam „na stole" gdy nadeszła, więc wstałam, by ją powitać i wprowadzić. Zmroziła mnie z dala jej lodowata mina. Powitałam ją grzecznie i zawiodłam do pokoju. Po upływie może dziesięciu minut wyszła, nie żegnając się z Leną i przeszła koło naszego stolika na werandzie, zaledwie skinąwszy głową z wysokości swego gniewu. Wycedziwszy z silnym akcentem „dowidzenia" zmierzyła Roberta i... mnie spojrzeniem, od którego twarz Roberta spłonęła wściekłością i zażenowaniem.

Graliśmy długo... — po ósmej wieczór goście nasi rozeszli się, a my — Staszkowie i ja — cały wieczór rozmawialiśmy o tym, że Robert zrobi „piekło". Musiało istotnie zajść coś takiego, gdyż Klara przybrała wobec mnie ton wyniosłej obojętności. Biedactwo...

Wówczas dopiero zorientowałam się, dlaczego takie obawy zdradzałaś i ty sama i Lena. Nieprzyjemne sytuacje. Nie wiem, dlaczego Robert wydaje mi się jeszcze bardziej sympatyczny. Przy tym żal mi go, a raczej szkoda... Swoją drogą z niego też jest ananas! A jednak, jednak, — jestem niepoprawna — imponuje mi taki charakter. Ach, Ernest, taki sam nieustępliwy, uparty, o swoją wolę tylko dbał, o swoją przyjemność, z nikim i niczym się nie liczył! Robert podobny — choć inny.

Napisz, An, czy nie widziałaś gdzie Ernesta? Nie napiszesz, wiem! Wściekła jesteś na mnie, że o nim piszę! Tak, lepiej że jestem daleko! Wiatr zwieje mi z oczu jego obraz, a z serca pamięć. Nie może być inaczej. Nie chcę już nigdy cierpieć przez mężczyznę i wytężę wszystkie siły, by się przed tym ustrzec. Na cóż mi to? Czy nie dość już przeżyłam bólu i niedość już dawałam z siebie w imię miłości? Żaden mężczyzna nie wydaje mi się jej wart. I tak myślę, że dni szczęścia dla mnie nigdy już nie nadejdą. Życie nie zabiło we mnie pragnienia: zabiło wiarę! Z tym i dobrze mi i źle. Dobrze, bo przestałam się męczyć! źle, bo życie moje nie ma barwy i upływa bez celu, do śmierci!! jak rzeka do ujścia — z dnia na dzień...

Twoja Joe".

II.

Joe uwijała się po mieszkaniu siostry, nieco zmęczona, ale zadowolona i pełna wewnętrznej radości życia.

Pogoda uczyniła się znów piękna, jak przedtem, i piękniejsza nawet, gdyż sypnęło z nieba liście sierpniowym żarem i w przejaskrawiony od blasków świat nie można było patrzeć.

Joanna coś nuciła cichutko, bardzo cichutko, bo obok w pokoju Helena ułożyła się do poobiedniej drzemki. Joe myślała, że siostra śpi i starała się zachowywać jak najciszej. Ale Lena sama zagadnęła niespodziewanie i zaraz potem uniosła się na kanapie, rozmawiając w półsiedzącej pozycji z mężem, pracującym przy biurku.

Nagle za domem rozległ się młody bujny gwar, kilka męskich głosów wydawało wesołe okrzyki. Okrzyki te zbliżyły się pod sam dom — i nagle w szeroko otwartym oknie ukazała się roześmiana hoża twarz Roberta. W jednej chwili znalazł oczyma Joe i szczerząc piękne zęby w przyjaznym uśmiechu, przez chwilę patrzył jej wprost w źrenice.

— Przyszliśmy po panią!

Był w samej koszuli z krótkimi rękawami i rozpinanym kołnierzykiem. Przez ramię zwieszał się mu niedbale włochaty ręcznik kąpielowy.

Joe pokraśniała z uciechy. Z wdzięcznością uśmiechnęła się do Roberta.

— Sekundkę... Zaraz będę gotowa!

Skoczyła do drugiego pokoju i korzystając z tego, że szwagier wraz z Leną rozmawiali z gośćmi przez okno, szybko przebrała się. Miała rozkoszne shorty zielono-poziomkowo-żółto-błękitne. Szalenie je lubiła, gdyż... ją lubiano w nich. Pospiesznie narzuciła na wierzch sukienkę, związała sandały i porwawszy białą czapeczkę szwagra nasadziła ją zawadiacko na czubek włosów, by uchronić głowę przed żarem słonecznym.

Gdy ukazała się w ogródku, Robert przedstawił jej towarzyszy. Sama męska młódź, prócz Roberta, jeszcze trzech mężczyzn i Zbyszek, ulubieniec Joe.

Plaża była daleko — prawie godzinę trzeba było iść i to wcale tęgo. Joe szła wesoło, mając z lewej strony Roberta, z prawej młodziutkiego, coś 19-letniego studenta. Dziecko uwijało się przed nimi, jak iskra.

Joe czuła zupełnie fizycznie, jak ból jej i smutek gubi się gdzieś w zielonych nasłonecznionych przestrzeniach. Całą ją brała w posiadanie jakaś niezmierna ulga, odprężenie. Mówiono niewiele, zwłaszcza Robert był milczkiem, ale często patrzyli na siebie, ot tak, by się uśmiechnąć. Żartowali od czasu do czasu, a wtedy młody śmiech niósł się polami ku rozchwianym gajom i bił w turkusowe niebo, na którym nie było nic, kompletnie nic — prócz słońca. Joanna patrzyła

w słonce, w niebo, w zieleń rozlaną dokoła nieobjętym morzem, na którym jak wysepki widniały tu i ówdzie skupiska krzewów, czasami nawet jakieś drzewa samotne, rozłożyste, rozwiane, hojnie darzące cieniem. I znów było jej dobrze, cudownie dobrze i cudownie inaczej, niż dotąd. Bliskość Roberta potęgowała jeszcze te uczucia: coś płynęło od niego tajemnie a niewidzialnie, coś takiego, z czym każdemu było dobrze.

Zaprowadzono ją w prawdziwie rajski zakątek. Z trudem wstrzymała okrzyk zachwytu, ale za to milczała przez dłuższą chwilę tak dziwnie, że Robert pytająco zajrzał jej w twarz. Uśmiechnęła się natychmiast — i zasiedli niezwłocznie do kart, by — jak to nazwano — rozgrzać się w słońcu przed kąpielą.

„Rozgrzewali" się z godzinę. Partnerzy zostawili potem karty (i odzież, oczywiście) pod opieką Joanny i oddalili się, by obejść jezioro. Przy mostku nad rzeczką było najlepsze miejsce do kąpieli. Młode głosy, oddalające się w las, dochodziły do niej coraz słabiej, wreszcie zcichły. Joe została sama. Przez moment odnosiła wrażenie, że zabłądziła w wielkim lesie, albo że nagle wszyscy ludzie wymarli i na całym świecie ona została sama jedna.

Sama? Tuż niemal przed nią prześliczny pstry dzięcioł walił dziobem w chory pień sosny tak zawadiacko, że omal nie przewrócił się do tyłu. Joe dziwiła się: „gdyby człowiek w proporcji do swej wielkości tak trzasnął głową o drzewo, pękłaby we czworo. A taka malizna . ."

Uśmiechnęła się. Jak zawsze, gdy była czymś rozrzewniona. Miarowy stukot dzięcioła zwolna przycichał. Ustał. Wokół milczało wszystko w popołudniowym skwarze.

Jezioro leżało nieruchomo i bezszmernie, jakby spało. Głęboka i ciemna od mulistego dna woda nie odbijała w sobie słońca: cała otoczona lasem, jak wieńcem, odcinała kontrastowo od zieleni — czarna, nieprzyjazna. (Joe lubiła każdą wodę, ale ponad wszystko kochała niewielkie rzeczułki o złotawo-piaszczystym dnie i miękkim nurcie). Przy ciemni wody tym bielszy wydawał się mały domek na przeciwległym brzegu, czysty lśniący, śliczny jak dziecięca zabawka. Dach jego pokrywały gałęzie olbrzymiego drzewa.

— . . . Pewnie grusza! . .

Identyczny obrazek — biały domek wtulony w koronę rosohatej gruszy — pamiętała Joanna przedziwnie wyraźnie z lat najwcześniejszego dzieciństwa. Więc dlatego pewnie grusza . . .

Za domkiem w lewo i w prawo las. Nieco już pochylone słońce farbowało pnie sosen rubinem i fioletem. Joe patrzyła długo w ten obraz odległy i jasny. Potem przeniosła wzrok bliżej. U stóp jej chybotała złocista plama słońca, która wślizgnęła się między dwa krzaki i ogrzewała szeroki skraw trawnika. Na tym rozgrzanym kawałku wyprężyła się Joe z lubością, kryjąc głowę w cieniu gałązek krzewu — jak parasolka unosiły się wprost nad nią.

Chwyciła gałązkę w rękę. W nagłym porywie bezmiernego kochania poczęła tulić do ust miękkie jak atłas liście. Spłoszyła się własną świadomością i szybko puściła gałązkę, rozglądając się z podejrzliwym lękiem.

— Śmialiby się ze mnie . . .

Ale na szczęście nie było wokół nikogo. Joe wspomniała nagle partnerów.

— Gdzież oni? — Nadsłuchiwała chwilę uważnie, ale nie usłyszała nic, prócz ciszy.

Zerwała trawkę i powszechnym nawykiem poczęła rozgryzać ją między środkowymi zębami. Zadarła głowę wysoko, jak pastuszek i zapatrzyła się w błękit nieba tak jaskrawy, że aż ciężki. Brał w siebie z mocą oczy Joanny. Tak zawsze zazdrościła ptakom . . . A w tej chwili chyba najbardziej. Obejrzała z zawiścią rozczochrane wierzchołki sosen, wysokie, niedosiężne, za pan brat z błękitem.

— Tym dobrze! . . . — Joe czuła stanowczą antypatię do tego brzydkiego drzewa. — Bo i cóż? — myślała — goły pień, a na szczycie miotła bezwdzięczna i niecienista . . . Chociaż na przykład o zachodzie słońca cudnie wygląda sosnowy bór — właśnie sosnowy!

Gdzieś w pobliżu samotny ptaszek rozdarł się na całe gardło, na próżno usiłując zgłuszyć leśną ciszę. Joe szukała wzrokiem śmiałka, lecz daremnie. Zresztą po chwili umilkł. Musiał odfrunąć gdzieś dalej, bo delikatny szum skrzydełek na sekundę zawisł w powietrzu.

Joe mimowoli spojrzała w tamtym kierunku: poprzez samotną brzozę ujrzała nagłe skraweczek nieba, w cieniu aż granatowy . . .

Skurcz serca. Twarz Joe stężała nagle i uśmiech z niej uleciał.

. . . był taki błękit! był — i już go nie ma! błękit aż granatowy, świetlisty od blasków, żywy, ciepły i drgający pod czarnymi jak smoła brwiami . . .

— Nie myśleć! Nie myśleć! . . .

Jakoś udało się. Trzeba chcieć! A chciała . . . Zbyt cicho i pięknie, by myśleć o tym, co było, a być juz nie mogło. Zresztą las robił swoje. Umiłowana nad wszystko przyroda prostowała i wygładzała kazdy jej nerw, jak splątane struny, a cisza była dla nich — nienawidzących hałasu — najlepszym lekarstwem. Ból, rozpacz, wstyd, które do niedawna jeszcze przepalały jej duszę, rozwiały się jak tuman mgieł na łące. Może tylko smutek tkwił gdzieś jeszcze w niej i tęsknota, ale ta zwyczajna: zdrowa i kobieca.

Głosy. Po drugiej stronie jeziora szli partnerzy. Cztery męskie postaci i piąta maleńka (chłopiec) migały w słońcu. Joe spojrzała w jeden punkt, z pięciu — najwyższy.

Zapomniała zaraz o wszystkim. Uniosła się na trawie czujnym odruchem, jak ktoś bojący się spłoszyć podglądanego ptaka. Patrzyła . . . patrzyła . . . W miarę, jak posuwał się, oczy jej biegły za nim wiernie, spokojnie — tylko blask ich zciepłał. Pieściły się każdym zarysem tej bujnej postaci, każdym mięśniem, każdym zaokrągleniem atletycznych kształtów. Był mniej wyraźny, bo oddalony o roztocz jeziora, ale za to teraz dopiero mogła przyglądać się mu zupełnie swobodnie. Bliskość nie krępowała już ani jego, ani jej.

Wstała. Patrzył nawet w jej stronę. Gdy przystanęła nad samym brzegiem wykwitła dla jego oczu jak smukły pstry kwiat w swych barwnych shortach. Podobno ślicznie wyglądała (powiedział jej to potem) drobna i jasnowłosa nad czarną plamą wody.

Przesłoniła oczy dłonią — a oni przystanęli przy mostku. Mówili coś (nie rozróżniała słów), poruszali rękami, umawiali się. Dziecko z dawna już kołysało się na wodzie, jak różowo-żółta rybka.

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

WŁASNE PRZEZNACZENIE...

Patrząc na pedantycznie wykaligrafowane wiersze rękopisu, Piotr westchnął, a potem ziewnął szeroko.

Znowu ta „Miriam", pseudonim artystycznie wypisany na dole wielkich arkuszy. Wyraz, który z początku Piotra drażnił i denerwował — a teraz potrafił nawet wprowadzić w pasję.

— No, jeszcze jedna porcja takich bzdur, a przyjdzie mi oszaleć! — skonstatował zupełnie spokojnie. Ale w ruchu z jakim wrzucił papiery do redaktorskiego kosza wyładował całą swą wściekłość.

Ową „Miriam" znał osobiście. Znał jej właściwe imię i nazwisko; znał adres, na który systematycznie wysyłał odrzucone przez redakcję rękopisy. Kwalifikował je zawsze jako nie nadające się do druku i — odsyłał. Ale ostatnio nie wychodziły już z powrotem za biuro redakcji. Sprzątająca wynosiła je na śmietnik, gdy wypróżniała przeładowane zawsze kosze z biur. Bowiem zwrotne przesyłki nowel owej „Miriam" powodowały zawsze wizyty samej autorki w redakcji osobiście.

— Dlaczego? — pytała rozżalona — czy to naprawdę było takie złe? A dlaczego się panu redaktorowi nie podobało? A co by podobało się w ogóle? A może, jeżeli zmieni to i owo, zamiast tego napisze to, a skończy w ten, a ten sposób... to może będzie lepiej?

Piotr nie objawiał nigdy chęci dyskutowania z nią długo.

— Przerost ambicji literackich — myślał niechętnie. — Ta kobieta nadaje się doprawdy do wszystkiego innego, ale do pisania najmniej!...

Nie powiedział jej jednak tego nigdy. Bo w jej szaro-zielonych oczach czaił się lęk przed tym jego wyrokiem. Smutnym uśmiechem żebrała jak gdyby o najmniejsze choćby słowo zachęty, czy uznania. Drżała z wrażenia jej drobna dłoń, gdy podawała mu ją nieśmiało, i rumieniła się przy tym ślicznie. I może właśnie dla uroku tego rumieńca i wejrzenia wielkich, słodkich oczu — Piotr zadawał sobie tyle trudu, by być dyplomatą, by nie rozwiewać zbyt brutalnie złudzeń młodej pretendentki do sławy, rozgłosu i laurów.

Bo właściwie był jeszcze do tego zaciętym wrogiem kobiet. Traktował je tak lekko, tak lekko!... Chwilowa rozrywka: — jak brydż, jak sport. Zdobywanie, podboje, sukcesy, i zawsze pewność zwycięstwa. Zawsze otaczany — i znudzony. Zawsze uwielbiany — i niechętny. Złośliwy, bezwzględny, nieustępliwy, arogancki.

Dziwnie gorliwie i z niekłamaną satysfakcją podsuwał do druku wszelakie dowcipy, humoreski i artykuły godzące bezpośrednio w przedstawicielki płci nadobnej. Gdy podobną „perełkę", jakąś złośliwostkę złowił w nieprzebranym mnóstwie rękopisów, zanosił ją osobiście, z sadystyczną wprost rozkoszą do zecerni. Nie mówiąc już o tym, że sam rysował wiele karykatur o podobnym temacie. A literatek wprost organicznie nie znosił. Zwłaszcza tych młodych, początkujących i egzaltowanych.

Więc wreszcie już miał dosyć. „Miriam" obsypywała go po prostu swoimi utworami. Całą redakcję zarzuciła wielkimi arkuszami z kaligraficznym pismem. Gdzie się ruszyć, co tylko wziąć do ręki, to tylko „Miriam", „Miriam" i po raz setny: „Miriam".

Imię to urosło do rozmiarów koszmaru, wrogiej potęgi, która — jeżeli nie zniszczy człowieka — to w każdym razie doszczętnie jego nerwy.

— Żebym mógł z tą kobietą porozmawiać kiedy o czymś innym, a nie stale i bezowocnie o jej pisaninie! — myślał czasem widząc jej zgrabną sylwetkę — spotkać się z nią gdzieś na gruncie neutralnym, w jakiejś kawiarni, a nie tu, w redakcji. Tu przychodzi tylko „służbowo", na mnie patrzy jedynie jak na wyrocznię, złą moc, z którą się zmaga i której przezwyciężyć nie może. W ogóle nie jestem dla niej człowiekiem, mężczyzną. A jestem zawsze jedynie tylko niechętnym dla niej i dla jej twórczości — redaktorem.

Stosy, coraz częściej i w zwiększonej ilości, nadsyłanych manuskryptów były wynikiem jego dyplomatycznych, a źle przez nią komentowanych, odpowiedzi:

— Przecież kiedyś pan redaktor powiedział, że to nie jest znowu takie złe i, żeby jeszcze spróbować...

— Ale czy pani zechce mnie zrozumieć, że pani nieszczęśliwie zawsze dobiera sobie temat. To nie jest dla czytelników dzisiejszych! Im trzeba coś emocjonującego, żeby coś się działo, żeby było tempo. Pani rzeczy są już przebrzmiałe: sentyment i owo nieodzowne „fatum"! Czy człowiek dzisiejszy wierzy w przeznaczenie? A jeżeli nawet wierzy, to się nad tym nie zastanawia i nie chce rozwodzić! Niech pani napisze coś wesołego, coś żywcem wziętego z życia dzisiejszego. Niech pani stara się zaobserwować jakąś przygodę, lub najlepiej sama ją przeżyć. Jakaś awanturka, jakieś qui pro quo, bardziej zainteresuje czytelników niż przebrzmiałe sentencje o przeznaczeniu!

— Postaram się — odpowiadała.

Ale nie było efektu tych starań. Sentymentalna koncepcja owego fatum wypełniała niezmiennie nowele „Miriam".

Piotr postanowił wreszcie wybrać możliwie najlepszą z prac „Miriam" i mimo wszystko umieścić ją drukiem w piśmie.

Któraż to będzie najlepsza? Bo wszystkie były bliźniaczo do siebie podobne... i beznadziejne!... Więc choćby ta, gdzie dwoje młodych żyje tuż koło siebie, blisko, stale się rozmijają, przechodzą obok — nie wiedząc nic o tym, że moc potężniejsza od nich sprzęgła ich życia razem, że są sobie przeznaczeni...

Może potem „Miriam" przestanie choć na pewien czas zadręczać mnie? — zastanawiał się. I z prawdziwą przyjemnością wyobrażał sobie, jak słodkim będzie jej uśmiech „na podziękowanie"...

Może zrobił to tylko dla myśli o tym?...

— — — — — — — — —

Robiąc korektę, Piotr zastanawiał się nad tym, co będą sądzić ludzie, o noweli „Miriam" p. t. „Przeznaczenie"? I on to zamieścił w swoim piśmie, on, krytyk tak ostry i złośliwy recenzent, on znany z trzeźwości zapatrywań, sceptycyzmu, jeżeli nie cynizmu?... On, który (ale o tym nikt nie wie i wiedzieć nie będzie!...) na tej samej stronie, w ostatniej szpalcie przeznaczonej na anonse, zredagował dla siebie ogłoszenie matrymonialne Matrymonialne? Chyba tak tego nazwać nie było można. Ot, taki kaprys, tak dla zabawy, rozrywki. Dla nowych znajomości, bo stare już się znudziły, dla nowych wrażeń i przygód.

Piotr był człowiekiem nowoczesnym. Piotr był materialistą. Piotr śmiał się ze starych sentencji i uczuć. Piotr śmiał się z noweli „Miriam".

— — — — — — — — —

Na ogłoszenie Piotra wpłynęło mnóstwo ofert. Przecież było niezwykle zachęcające, takie trochę niecodzienne... „Poważne zgłoszenia kierować pod: „Kresowianin". A pomiędzy tym mnóstwem listów była nieduża zielona koperta i arkusz papieru ze znanym kaligraficznym pismem: „... Wierzę w przeznaczenie" — pisała „Miriam" do nieznanego jej autora ogłoszenia zamieszczonego w tygodniku — „w owo wszechwładne fatum. I myślę, mam nawet przeczucie, że my właśnie odczujemy dotknięcia magicznej laseczki Losu-Czarodzieja. Rozmaitymi drogami on chodzi..."

— Przeczucie!!... Ha! ha! Żeby ta miła, naiwna kobietka wiedziała, że pisze te wzruszające wyrazy do najsurowszego i najtrzeźwiejszego krytyka, którego sama (niepotrzebnie!) podniosła na piedestał dystansu „służbowego", i należności. — Po co w ogóle nadesłała ofertę? Może to właśnie jest jej poszukiwanie przygód i wrażeń, jakie jej ostatnio zaleciłem? I znów, nawet do obcego człowieka rozpisuje się tyle o przeczuciach i przeznaczeniu — medytował Piotr wpatrując się w aż nadto znane pismo.

— Będzie wesoła heca!... Z tkliwego sentymentalizmu wychodzi wspaniała groteska. Może „Miriam" wreszcie naocznie się przekona, że z tym swoim wzdychaniem jest śmieszna?

Z piekielną satysfakcją Piotr postanowił tym razem nie oszczędzać jej złośliwości i docinków.

Na redakcyjnym, biurowym blankiecie, na arkuszu z wszelkimi możliwymi pieczęciami i urzędowymi nadrukami napisał do „Miriam", by stawiła się zaraz nazajutrz w redakcji („sprawa pilna!" z wykrzyknikiem). Podpisał się pełnym swoim nazwiskiem z wielkim zakrętasem, który tak dobrze znała.

Przecież ona nie wiedziała, kto był autorem matrymonialnego ogłoszenia. Nie mogła skojarzyć jednego z drugim

— — — — — — — — —

— Jak pani myśli, dlaczego panią wezwałem? — zapytał, gdy zjawiła się w redakcji punktualnie.

— Pan redaktor zamieścił ostatnio moją nowelę... Sądzę, że poleci mi pan napisać coś nowego, może jakąś powieść?... — była dlaczegoś zdenerwowana z wypiekami na twarzy. Ręka jej drżała, gdy podawała mu ją na przywitanie.

— Ach! Tamte sprawy to rzecz drugorzędna! Ale niech mi pani powie co pani myśli w tej chwili i o tej chwili?...

— Czuję, że ważą się moje losy... że jakaś wielka zmiana... — powiedziała bez zawahania się.

Uśmiechnął się trochę złośliwie

— Ej! Czy takie przeczucia nigdy panią nie zwodzą?

— Nie! — powiedziała poważnie.

— No, dobrze — to dlaczego w takim razie przeczucie nie powiedziało pani, że odbiorcą oferty, którą pani na pewne ogłoszenie napisała... będę ja?

Spojrzała na niego półprzytomnie, jakby zbudzona ze snu. Potem nieśmiało spuściła głowę i po chwili patrzyła jakoś inaczej.

Mógłby przysiądz, że dopiero w tym momencie — przestał być dla niej redaktorem, istotą bezosobową, zimnym kamiennym posągiem tkwiącym niezmiennie za biurkiem redakcyjnym. Dopiero teraz może zauważyła, że jest barczysty, przystojny — że jest brunetem o ciemnych, głęboko osadzonych oczach... że jest mężczyzną...

— No, niech się pani śmieje! — powiedział niezgrabnie, gdy twarzyczka jej stała się biała jak opłatek — przecież to wesołe, przecież to żart, zabawa!...

Ale właśnie w tej chwili wiedział na pewno, że kłamie, że dla niego ta kobieta siedząca tam naprzeciwko nie będzie ani żartem, ani zabawą... Nie rozumiał zupełnie w tej chwili siebie, ale zaczynał rozumieć ją...

— Niech pani napisze o tym nowelę!... To wszystko składało się dla nas tak dziwnie... — powiedział niewyraźnie, może zupełnie nie myśląc o tym.

* * *

... Ja jednak zapamiętałam Twą radę. No i właśnie dziś skończyłam tę nowelę o nas dwojgu. Czy bardzo niezgrabnie wypadła? — co sądzisz o tym, Piotr? Czy przyjmiesz ją do druku, mój srogi redaktorze?...

Miriam

KOBIETA

Lepkich pochlebstw, zapewnień odurzona wonią,
w nieprzeparty powab uzbrojona wdzięków,
czujnymi poszeptami w drodze kierowana
na skrzydłach egoizmu za użyciem goni
na oślep — kobieta — sojusznik szatana.

Przeobłudnych obietnic opiumowym czadem
upaja najmocniejsze, hartowane serca
i najbardziej odporne, twarde łamie wole.
Jak czerw uśmiechami do duszy się wwierca
bezpieczna, osłonięta kłamstewek przedpolem.

Jak magnes drobne stróżyny żelaza,
przyciąga swą urodą niesyte pragnienia,
nurza się w męskich szeptach roztrzęsionych,
pali się chwilę tylko gorącym płomieniem
i stygnie: bezlitosna — oczom zawiedzionym.

Ukradła barwy wschodom, zachodom i tęczy,
ubrała się w kolory kwiatów i motyli,
nawet zmierzch, obdarta z fioletów przecudnych,
by ostatnie, uparte czoła nisko schylić
i zmusić do żebrania o jej łaski złudne.

Oddała się przeróżnych zabiegów torturze,
by się umocnić w swej zachłannej władzy,
z wrogością wystąpiła przeciwko naturze.
W obronie powodzenia wygód i zabawy —
gotowa dzisiaj przysiąc... żeby jutro zdradzić.

Porwana wiatrem buntu niespokojnym —
przestała wyczekiwać swego przeznaczenia...
w niezależności święci zachwyt wyzwolenia,
bo porzuciła kładkę bez poręczy —
na most wygodny weszła — i boleśniej dręczy!

Kiedy szaleni żądzą, lub kochaniem
błagamy wzrokiem: ciepła i miłości
i mówimy o uczuć naszych huraganie,
ona słucha cierpliwie, uśmiecha się, kocha...
podczas gdy w myślach jej... kto inny gości.

Jednak choć pieką nas ciągłe zawody
i doświadczenia piętrzą nam się w duszach,
to poprzez starych złudzeń szkielety
potężna fala wrących pragnień zmusza
iść z nową wiarą — do nowej kobiety! —

M. Kraikowski

Ciąg dalszy ze str. 6-tej

jedyna osoba nie przyczyniła się nigdy: jej własna córka, hrabina Grignam, otaczana przez matkę tkliwą opieką i zbytkiem, za c zbierała jeno madame de Sevigné mrożący chłód swojej pupilki, lekceważenie i prawie nienawiść.

Znany obraz van-Dyck'a, przedstawiający **Henrietę Marię Francuską**, córkę króla Henryka IV fr. — odtwarza nam postać kobiety — poświęcającej życie swe staraniom o tych, którzy ją kochali i odczuć i zrozumieć umieli. Poślubiona angielskiemu królowi Karolowi I, przeszła do historii pod mianem nieszczęśliwej królowej.

Powodując się sercem a nie rozumowaniem, naraziła się parlamentarnym kołom, posądzającym ją o podżeganie królewskiego małżonka do despotyzmu, o dwulicową grę królowej, wynagradzającej krzywdy wyrządzone poddanym, do czego nie powinna była się mieszać, nie znając kierunku politycznych pociągnięć ani nie umiejąc wpływać na osobę króla.

Skazana na wygnanie, dokończyła życia we Francji.

Madame Tallien, zwykła kobieta pochodzenia mieszczańskiego, z porewolucyjnych czasów francuskich, umiała sobie dzięki sprytowi i piękności zdobyć wysokie stanowisko w politycznych kołach Francji.

W jej salonach zbierali się najznakomitsi dyplomaci doby porewolucyjnej. Napoleon, wówczas jeszcze jako generał, odwiedzał też często p. Tallien, pociągnięty jej elegancją i dowcipem, a zawdzięczał wpływom tejże bardzo wiele, do czego w rzadkich chwilach zwierzeń sam się potem przyznawał. Możnaby śmiało zaryzykować twierdzenie, że pani Tallien dopomogła wybitnie Napoleonowi do jego zawrotnej kariery, zapoznając go u siebie z czołowymi osobistościami politycznymi.

Małgorzata de Valois — to sławna znowu za swych dni „królowa mody". Ona, jako wyrocznia w tej dziedzinie, zreformowała hiszpańską modę na francuskim dworze u schyłku XVI stulecia, zarzucając obowiązujące według jej kanonów ciemne kolory i usztywnione kołnierze, wprowadziwszy żywe barwy i głębokie dekoltaże.

Wiodła swój ród z książęcego francuskiego gniazda, będąc córką Henryka II i Katarzyny Medici. Kochała księcia de Guise, ale rodzina zmusiła ją do poślubienia Henryka Bourbon.

Odziedziczona po dziadku choroba nerwowa rzuciła Małgorzatę teraz na fale ekstrawagancji, sercowy zawód dopomógł do rozwinięcia się dziwnych właściwości charakteru i obudzenia żądzy przygód.

Małżeństwo zostało zerwane, ona sama skazana na opuszczenie Paryża — powróciła doń dopiero po dwudziestu latach, umierając w skrajnym opuszczeniu jako kobieta bardzo wątpliwej sławy.

Oto kilka typów „zapomnianych kobiet", wyjętych z bogatej galerii minionych czasów.

Stef. Krasiński

ROZMAITOŚCI

PARACELSUS — WIELKI UCZONY ŚREDNIOWIECZA

Lat temu 450, niezapomniana to data w biegu końca XV stulecia, w roku 1493 — ujrzał światło dzienne późniejszy wielki uczony, sława głębokiego średniowiecza, Filip Paracelsus.

Pełne nazwisko tego ze wszechmiar interesującego uczonego brzmi nieco, jak na obecne czasy, oszałamiająco: Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus Paracelsus von Hohenheim. Modą dawnych wieków lubowano się bowiem we wszelkiego rodzaju przydomkach, zdłużających niejednokrotnie niepomiernie właściwe nazwisko rodowe, co dodawać miało ważności i uroku posiadaczowi tak szlachetnego miana.

Jako syn lekarza z Einsiedeln, w Szwajcarii, gdzie przyszedł na świat, przeznaczony przez swego ojca, Wilhelma von Hohenheim, do zawodu również medycznego, — pomimo wczesnego zamiłowania do filozofii raczej niż studiów lekarskich, przecież za wolą rodzica zgłębia tajemnice ówczesnej medycyny w Ferrarze, kędy, według najnowszych badań, miał otrzymać doktorat.

W roku 1526 osiada w Strassburgu, będąc od r. 1527 lekarzem i profesorem w Bazylei, głosząc tu z całą bezwzględnością swe nowe rewelacje medyczne, ku zgrozie i zgorszeniu uniwersytetu, lekarzy i aptekarzy, z którymi wdał się w długie i głośne spory i dysputy fachowe, co mu zjednało zrazu sławę awanturnika i szarlatana, wersje o jego czarownictwie, znachorstwie i dążnościach alchemicznych.

Opowiadania jednak o usiłowanym z jego strony produkowaniu złota dla ciemnych celów, okazały się z gruntu fałszywymi, bo jakkolwiek był Paracelsus człowiekiem o poglądzie średniowiecza, przecież wyższym był nad żądzę bogacenia się „czartowską pomocą" — ponieważ kwestie religijne miały dla niego podstawowe znaczenie.

W zapatrywaniach swoich zbliżał się do ruchu Jana Hussa, idealizując ubóstwo na tle religijnej wspólnoty.

Najpiękniejszą cechą jego charakteru, to najdalej posunięta bezinteresowność w leczeniu nędzarzy i opuszczonych chorych.

Prawda, miewał swe „czarne dnie", kiedy to godzinami siadywał w traktierniach i austeriach nad wyskokowym jakimś napojem, ale były to chwile upadku ducha po jałowych dysputach z wrogami nowych dróg, jakie wskazywał Paracelsus, momenty reakcyjne po wysiłku prac badawczo-eksperymentalnych w dziedzinie chemio-farmakologii i dociekaniach filozoficznych oraz religijno-dogmatycznych.

Komentarze do Biblii, traktaty o chrzcie, Wieczerzy Pańskiej itd., to znakomite odzwierciedlenie jego idei o „życiu doskonałym", „gwieździe ubóstwa" i „państwie nadnatury".

W dziedzinie medycyny głosił przewrotowe jak na czas owy hasła o „samopomocy natury", która to właśnie wiara była dla niego podstawową zasadą lecznictwa, — „cudownego" na współczesne mu sądy.

Głosił wielki ten uczony, że życie jest naturalnym procesem zachodzącym w przyrodzie, opartym na chemicznych przemianach. Zrozumiał go dopiero niestety wiek XX, dzięki odkryciom i rozwojowi nauk przyrodniczo-fizykalnych i chemiczno-biologicznych.

Ukuł on termin „Archeus", w odniesieniu do „organicznej siły życia", a wyobrażał sobie, że wszechświat wraz z człowiekiem powstał z trzech „żywiołów": soli, rtęci i siarki. Choroby, według wiary Paracelsusa powstają z pięciu przyczyn: 1) gwiezdnej, 2) jadu, 3) przyrodzonej, 4) duchowej, 5) boskiej.

Znał zagadkowy ten uczony mnóstwo lekarstw i preparatów chemiczno-alchemicznych, tych ostatnich używał dla działania na psychozę pacjenta, coś niby lecząc sugestią, boć o ile związki rtęci, srebra, siarki, wyciągi z roślin i odwary posiadały istotne walory lecznicze, to „nalewki" znowu na perłach czy złocie miały pobudzić tylko wiarę chorego w skuteczność obok stosowanego leku, jako same obojętne zupełnie płyny. Liczne i ciekawe dzieła lecznicze, to dorobek wiedzy medycznej Paracelsusa, szkoda jedynie, że często spisany w symbolach i wyrazach specjalnych jak „leb ruber" (złoto), „arcanum-astrum" (wielkie dzieło) itp.

Prace pióra na tematy medyczne, chemiczne, filozoficzne, astronomiczno-astrologiczne, biologiczne, teologiczne i metapsychiczne, to dowód kolosalnej wszechstronności zainteresowań Paracelsusa i bardzo różnej jego wiedzy.

W Europie ma dzisiaj Paracelsus wielu zwolenników, a świadczy o tym najlepiej utworzone w Niemczech w r. 1929 „Towarzystwo Paracelsusa".

Dzieła tego średniowiecznego uczonego wyszły w wielu wydaniach i licznych przekładach, a na tle życia Paracelsusa snuł Robert Browning poemat dramatyczny (1835), zaś Kolbenheyer 3-tomową powieść (1917—1926).

Paracelsus zmarł w jesienne dnie roku 1541 w Salzburgu, wrogowie zaś jego nauk i życia, pomawiając go niesłusznie o zarozumiałczość i wywyższanie się nad innych, powodowani nikczemną zazdrością o jego wielką sławę i istotnie wielką wiedzę, stworzyli pojęcie językowe na oznaczenie samochwalby bardzo wielkiej w wyrazie „bombastyczny", wziętym z nawiska tego bądź co bądź niepospolitego uczonego, Filipa Teofrasta Aureolusa Bombasta Paracelsusa Hohenheim'a.

Stef-Kra

FRAGMENT WALKI O OPERĘ

W r. 1752 zjechała do Francji opera włoska (buffoniści) wystawiając na królewskiej scenie w Paryżu komiczne intermezzo Pergolesego p. t. „Służąca jako pani" (Pergolese był niedoścignionym wzorem w tworzeniu opery buffa). Grano też opery innych jeszcze kompozytorów włoskich, a wszystkie wywoływały niesłychany entuzjazm wśród Francuzów melodyjnością arii, żywością gry aktorskiej i wirtuozowską techniką w głosie, wreszcie dyskrecją akompaniującej orkiestry, we francuskiej bowiem operze dyrygent wybijał głośno takt laską.

Powstały jak zwykle dwa obozy: obrońcy opery narodowej antibuffoniści pod protektoratem króla i zwolennicy opery włoskiej, buffoniści pod protektoratem królowej. Walka z teatru przeniosła się do salonów arystokracji francuskiej, a stąd pomiędzy publicystów. W polemice brali udział najwybitniejsi pisarze.

Do szeregu zwolenników opery włoskiej należeli Diderot i Rousseau. Ten ostatni wydał „List o muzyce", w którym wykazuje wady opery narodowej, niemelodyjność języka francuskiego i w ogóle nieudolność Francuzów w tworzeniu opery.

Naturalnie we Francji zawrzało i o mało co Rousseau nie został zamknięty w Bastylii. Tymczasem „List" „Rousseau'a zawierał mnóstwo cennych myśli, a naczelnym postulatem jego wywodów było, że muzyka i poezja muszą zajmować w operze równoczędne stanowisko.

„THELO, THELO MANANEI"

„Chcę, pragnę się wyszaleć" brzmi refren świętej pieśni orgiastycznego kultu Greków. Refren powtarzany zarówno przez wyznawców południowego bieguna sfery „Okeanosu" zwanego „Świętością" jak i wyznawców północnego bieguna zwanego „Satawizmem".

Z jednej więc strony św. Teresa i pławiący się w ocenie radości i błogości św. Franciszek z Asyżu, z drugiej jakaś zsatanizowana Madeleine Bavoni, jakiś potworny Gilles de Reetz, który składał szatanowi ofiary z tysiąca dzieci.

Nadczłowiek przedzierający się poza sferę 5 zmysłów rodzi się zarówno na Golgocie Cnoty, jak i w strasznej Gehennie Zbrodni. Różnica w tym samym uczuciu przekroczenia normy objawia się albo jako błogość i szczęście, albo jako cierpienie, rozpacz i ból, których syntezą jest Potępienie.

COŚ O CZAROWNICACH

Sensacyjną wydawała się niezwykła na nowoczesne czasy powieść Belmonta p. t. „Jasnowłosa czarownica z Glarus", przypominająca surową erę średniowiecza z osobliwościami walk z nadprzyrodzonymi siłami i echami Świętej Inkwizycji hiszpańskiej.

A jednak wśród ciekawych dzisiaj zdarzeń ówczesnych istniała długa i zacięta walka z czarownicami, stwierdzona zarówno aktami sądowymi jak i pismami słynnych diabologów.

Studia nad zagadnieniem dlaczego „Thelo, thelo mananei" (refren greckiej pieśni) objawia się w kobiecie silniej, aniżeli w mężczyźnie prowadzono od Platona poprzez św. Augustyna, Tomasza z Aquinu, do Strindberga, Weiningera stwierdzając zgodnie, że to pragnienie krwiożerczego szału jest zasadniczą cechą psychologii kobiet-czarownic, których według bardzo nieścisłego rachunku od czasu średniowiecza poza 1846 rok spalono 8—10 milionów. Diabolog Bodinus kreśli dokładnie obraz czarownic średniowiecza, Remigiusz palił sam około 900 — De Lancre przy oczyszczaniu prowincji baskijskich w roku 1609 spalił ich 3000. Pisze o nich Grillandus — Del Rio w encyklopedii satanicznej, Bernard de Como, Pouzibiusz i Sinistrari d'Ameno.

Jakie są charakterystyczne cechy czarownic?

Jest u nich wszystko na opak, jest spaczenie wszystkich praw, które obowiązują normalny organizm fizyczny. Nie toną one w wodzie, wznoszą się w górę, ciało traci ciężar gatunkowy, a w stanie szału przybiera najrozmaitsze pozycje, kurczy się, wypręża, wydłuża i momentalnie przybiera odwrotną pozycję. Czarownice są nieczułe na ból fizyczny w miejscach tworzących ciemne plamy na ciele (pazur Szatana) i w samych Pirenejach znalazł de Lancre 3000 osób naznaczonych tym znamieniem.

Czarownice torturowane zapadały w kataleptyczny sen i nic nie czuły. W archiwum miasta Kolonii istnieje prośba sędziego z miasteczka Kochem z roku 1506 do burmistrza Kolonii o przysłanie porządnego kata dla trzech czarownic, bo miejscowy kat mimo najwymyślniejszych tortur nie zdołał z nich wydobyć żadnych zeznań, a rany zadawane przez pięć dni z rzędu (przypiekanie siarką, oblewanie gotującą się żywicą, nakładanie na wałki najeżone kolcami itd.) goiły się nadzwyczajnie szybko.

Barbara Stecherin, znana ze słynnego procesu w Nordlichen (Frankonia) w r. 1590—94 mimo 22-krotnego torturowania nie zdradziła ani słowa, a Maria Hoblin z tegoż procesu przetrzymała 56 tortur i po 11 miesiącach pobytu w więzieniu wypuszczono ją na wolność pod warunkiem poniesienia zarówno kosztów pobytu w więzieniu jak i kosztów trudu kata mistrza Jakuba.

W XVII wieku nie stosowano już prób ognia, bo ogólnie znaną była ich odporność na niego. Za możność wykonywania wszystkich możliwych zbrodni, dzięki przewrotowi psychicznemu, czarownice składają ofiarę ciała szatanowi, któremu służą.

Na temat przestępstw czarownic przewyższających najśmiertelniejsze grzechy jest szereg osobnych studiów i tak: Sprengera, Piotra de Palude, wymienionych już diabologów, de Lancra i Remigiusza. Odwiecznym świadkiem powiernic szatana jest Luna-Selena (księżyc) która za miłość ziemską stanowiącą wiarołomstwo szatana karze czarownice śmiercią.

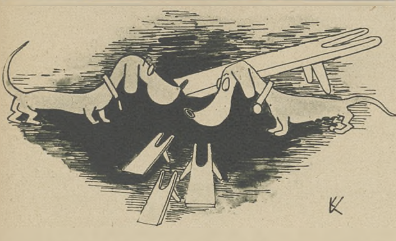
Wspaniała akwaforta Felicjana Ropsa p. t. „La voile" z cyklu „Les Sataniques" odtwarza wspomniane motywy.

W muzyce — melodie jako temat naśladujący śpiew starej czarownicy występują w utworze słynnego skrzypka kompozytora i wirtuoza Paganiniego w wariacjach „Le Streyhe". Op. 8 osnutych na temat muzyki Sussmayera do baletu Vigona.

Hektor Berlioz, odkrywca kolorystyki pianistycznej, który sformułował istotę muzyki programowej (dawna muzyka ilustracyjna jak chanson, modrygał itd.) w swojej symfonii fantastycznej (1829) poprzedzonej komentarzem wyjaśniającym jej program, wprowadza sabat czarownic. Pojawia się on w finale symfonii jako wizja bohaterowi, który z powodu nieszczęśliwej miłości popełnia zamach samobójczy. Wskutek małej jednak dawki opium popada w sen halucynacyjny. Widzi siebie jako mordercę kochanki, za co prowadzą go na miejsce egzekucji, wśród orgii sabatu czarownic. Taniec ich łączy się z odgłosami pogrzebowych dzwonów i parodystycznie przekształconą melodią „Dies irae". Bohater porwany szalonym wirem sabatu ginie.

Szekspir w „Makbecie" wprowadza pełne grozy sceny zamierzeń czarownic z ich darem jasnowidzenia i wykorzystania zbrodniczych instynktów bohaterów w wymienionym dramacie.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



MIĘDZY PIESKAMI

— Niewierna! Dlaczegoś mnie zdradziła i to w dodatku ze zwykłym pieskiem od butów!?

Rys. Karol Kwiecień — Tarnopol

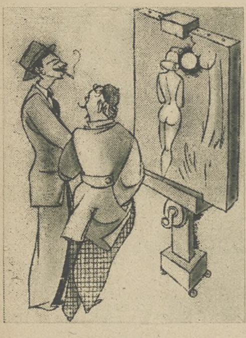
CO WAŻNIEJSZE...

Brak stale groszy na kromkę chleba,
Na naftę, cukier czy soli grudkę...
Ale w najgorszej nędzy, gdy trzeba
Znajdzie się jakoś i „setka" na wódkę.

LAPSUS LINGUAE

MOCNA w języku, zdolna dziesięciu
Mężczyzn przegadać — rzecz znana przecie,
SILNA i w garści; mężu czy zięciu,
Wy o tym lepiej ode mnie wiecie.
POTĘŻNA głosem, a jeśli wrzaśnie,
I Herkulesa zamieni w raba...
. . . . I to mi właśnie
Ma się nazywać — płeć SŁABA?!...

Artur Lorek



— Do tego obrazu pozowała mi moja żona.

— Och! Jak świetnie uchwyciłeś jej podobieństwo!

Die Post

Okulista na klinice do wieśniaka:

— Nie ma rady, musimy panu wstawić szklane oko!

— To się nie opłaci panie doktorze!

— Jakto nie opłaci?

— No, bo jeśli mi moje własne oko wybili, to szklane oko tym bardziej stłuką.

•

— Zosiu, co masz w medalionie?

— Włosy mojego męża.

— Przecież on żyje jeszcze.

— Tak, ale nie ma już ani jednego włosa.

Narzeczony: — Czy nie obawiasz się najdroższa, że z mej pensji nie będziesz mogła wyżyć?

Narzeczona: — Wcale nie. Tylko ciekawa jestem, z czego ty będziesz żyć?

•

— Czego pani kochana używa do czyszczenia dywanów?

— Różnych rzeczy, droga pani, ale najlepiej z nich nadaje się mój mąż.

•

— Pomyśl pani sobie, w dwa dni po naszym ślubie mój mąż wygrał główną wygraną.

— Jakie to straszne, dwa dni zapóźno.

•

— Czy ten środek pomaga radykalnie na pluskwy?

— Jeżeli pani raz spróbuje, będzie pani naszą stałą klientką.

— Wyobraź sobie, że ktoś mi wczoraj wkręcił fałszywą dwuzłotówkę.

— No i co zrobiłeś?

— Dałem żonie, bo ona już ma taką naturę, że każdy grosz wyda.

•

Pan A. (z gniewem): — Jak pan może opowiadać, że jestem głupcem!

Pan B. (uprzedzająco grzecznie): — Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, że jest to tajemnica.

•

On: — Pamiętaj droga, że w życiu bogactwo nie daje szczęścia.

Ona: — Tak, ale pozwala wybrać najprzyjemniejszy rodzaj nędzy.

•

Ojciec: — Czyś się gruntownie przygotował do egzaminu?

Syn: — Tak jest tato, jestem na wszystko przygotowany.

•

— Wyobraź sobie, iż p. Cichocka opowiadała mi, że kiedy tylko w nocy się obudzi, to słyszy swego męża mówiącego przez sen.

— Prawdopodobnie jest to dla niego jedyna sposobność wygadania się.

•

Lekarz do chorego:

— Miał pan dreszcze tej nocy?

— Tak, często.

— A szczękały panu zęby?

— Tego nie wiem, ale myślę, że nie, leżą bowiem na stoliku nocnym.

•

— Wyobraź sobie, że ona mi dziś groziła narzędziem ogniowym.

— Jakto, chciałeś powiedzieć rewolwerem.

— Nie! pogrzebaczem.

— Jako mały chłopiec zawsze marzyłem o tym, żeby zostać zbójem-rabusiem . . .

— Panie dyrektorze banku, widzę, że pan ma szczęście; nie każdemu spełniają się sny młodości.

•

— Ten złoty zegarek, który mi ciotka dała na imieniny, z pewnością nie jest ze złota.

— Czy tak dobrze znasz się na złocie?

— Nie, na złocie nie, ale na ciotce.

•

— Jak się panu podobała moja żona?

Redaktor: — Gdyby była manuskryptem, tobym ją natychmiast odesłał.

•

Gość: — Zaręczał mi pan, że rączka od parasola, który wczoraj u pana kupiłem jest z prawdziwej kości słoniowej, a tymczasem jest z celuloidu.

Kupiec: — A czy ja to temu winien? Skąd ja mogłem wiedzieć, że ten słoń miał fałszywe zęby.

•

— Panie baronie mam zaszczyt prosić o rączkę pańskiej córki.

— Jakubie — zwraca się baron do służącego — idź do panny baronówny i powiedz, że przyszedł manikurzysta.

•

Właściciel domu:

— Przy wynajmowaniu mieszkania wyraźnie powiedziałem panu, że nie znoszę muzyki w swoim domu, a tymczasem żona pana niemal całymi dniami grywa na fortepianie

Lokator: — I to pan nazywa muzyką?

•

— Czy to wy człowieku nosicie mleko do mnie na plebanię?

— Tak jest księże dobrodzieju.

— Chciałem wam powiedzieć, że używam mleka do celów spożywczych, a nie do chrztu.

•

Mąż: — Nie przypominasz sobie, gdziem położył papierośnicę z papierosami?

Żona: — Nie.

Mąż: — Strach, jak ty nic nie pamiętasz.

•

Spotyka się dwóch przyjaciół, którzy od szeregu lat nie widzieli się z sobą.

— Żonatyś?

— O tak, od pięciu lat . . .

— Zazdrosnyś o żonę?

— Stale.

— Dlaczego?

— Stale zazdroszczę bezżennym.

•

— Najlepszymi ludźmi na świecie są złodzieje.

— Dlaczego?

— Bo wciąż pragną naszego dobra.



W HOTELU

— Widziałeś, jak mu się twarz wydłużyła, gdym powiedział, że mamy do dyspozycji pokój z jednym tylko łóżkiem. To z pewnością małżeństwo.

Hamburger Illustrierte

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Mamusiu, czy wszystkie anioły latają?

— Tak jest moje dziecko.

— Czy nasza guwernantka umie także latać?

— Guwernantka? Skąd ci to przyszło?

— Bo tatuś powiedział do niej: „mój aniele".

— A jeżeli tak, to ona już wyleci.

•

— Tatusiu musisz odprawić tego subiekta — mówił do gości, że jesteś skończony idiota.

— Hm, rzeczywiście, należałoby go odprawić. Ale to jest dobry pracownik. W każdym razie powiem mu, aby nie zdradzał tajemnic interesu.

•

— Co pan robi jako emeryt, panie radco?

— Uważam, żeby mnie gdzie auto nie przejechało.

— Do jakiej grupy należą koty?

— Do zwierząt ssących.

— A papugi?

— Do ptaków.

— A śledzie?

— Do zakąsek.

•

— Panno Zofio, pytam się pani, co się stanie ze mną, jeżeli nie zostanie pani moją żoną?

— Niech się pan spyta, co się stanie z panem, jeżeli zostanie pan moim mężem.

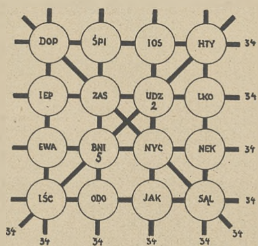
•

Przed kościołem stoi nędzarz w łachmanach i zawodzi:

— Miłosierne osoby! Zlitujcie się nad biedakiem, który nie jest ślepy, ani kulawy, a przez to ma bardzo utrudnioną karierę żebraka.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZAGADKA LICZBOWA



Cyfry od 1 do 16 należy umieścić w kołach w ten sposób, by liczby dodane wzdłuż każdej z prostych dały sumę = 34. Dwie spośród liczb zamieściliśmy. Litery odczytane w tej kolejności, w jakiej następują cyfry po sobie utworzą jedną z maksym Rochefoucaulda.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 21

KONIKÓWKA

Nie wyciągniesz bańką tego, co masz w sercu szkodliwego.

SZARADA

Wiosenny poranek.

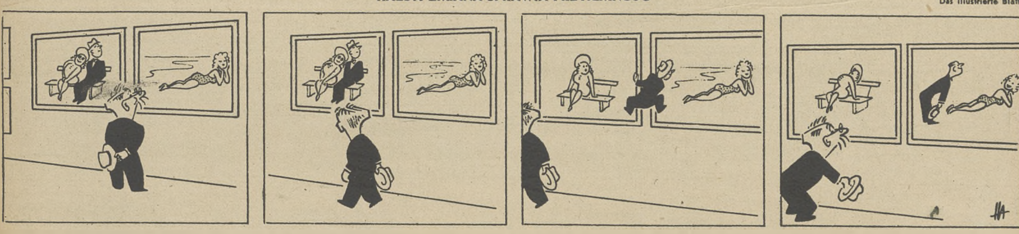
UZUPEŁNIANKA

Znaczenie wyrazów: Kataster, Otawa, notariusz, dotacja, ratafia, Antares, tartana, Oktawia, wataha, Itaka, cytata, zmiatacze.

Odpowiedź: **Kondratowicz.**

KAŻDA ZMIANA SPRAWIA PRZYJEMNOŚĆ

Das Illustrierte Blatt



Poldzio patrzy — tam tych dwoje,
tu zaś ona sama
Do pioruna! w moim guście
ta samotna dama.

O dziewczynie ciągle myśli,
wędrując po sali,
A tu — młody pan z obrazka
też się do niej pali.

I znudzony swą partnerką
rzuca dawne ramy,
„Robi oko" i przechodzi
do samotnej damy.

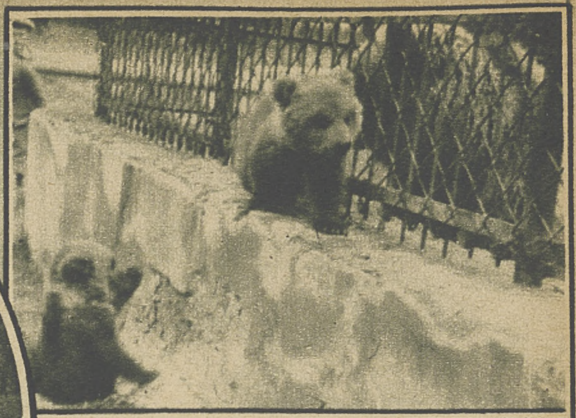
Poldzio wraca — spojrzał w obraz, —
w sercu uczuć nawał.
Patrzy — czary! — „znów mu młody
zrobił przykry kawał".

U MŁODYCH MISIÓW

Starzy i młodzi przyjaźnią się z zabawnymi misiami, a zwłaszcza dzieci nie mogą się po prostu rozstać z czworonożnymi towarzyszami zabaw.













Przedstawiamy najmłodszych mieszkańców Krakowskiego zoo! Trzy milutkie, małe niedźwiadki, które tu ujrzały światło dzienne. Mimo iż liczą zaledwie trzy miesiące, są już bardzo dzielne i igrają wesoło po całym zwierzyńcu.

Fot.: Borek